

go nie urządzili takiej straży jak w roku ubiegłym. Oprócz tego w ostatnich dniach rozchodzić się poczęły wśród ludności rolniczej i mieszkańców wsi okolicznych rozpuszczane wiadomości o strasznych zbrodniach żydowskich. A więc opowiadano, że żydzi białostoccy zamordowali kilku chrześcian i powiesili ich na krzyżach w lesie (!). Wśród zamordowanych — jak twierdziła oszczerca wieść — znajdować się miała jakaś ciężarna kobieta, której z łona wypruto niedonoszony jeszcze płód... Na nieszczęście dla ludności białostockiej, właśnie w tym czasie zabity został przez niewiadomego sprawcę — jak ogólnie twierdzą, nie żyda — policmajster Derkaczow, który taktem swoim podobno umiał wzbudzić sobie ogólną sympatię wśród żydów. I oto wczoraj o godzinie 12 w południe wyruszyła procesja ludności prawosławnej, urządzona na pamiątkę uniknięcia cholery, z duchownymi i ikonami na czele. Procesja taka, odbywająca się corocznie, skierowana do instytutu Mikołajewskiego, kończyła się zazwyczaj uroczystością szkolną, w której brały udział wychowanki tego zakładu. Procesja jednak doszła do środka mniej więcej ul. Mikołajewskiej (w pobliżu gmachu banku państwa), gdzie właśnie zdarzył się ów straszny wypadek. Oto na balkonie domu p. Makowskiego stało kilku jakichś ludzi, którzy zaczęli strzelać z rewolwerów. Strzały te sprawiły popłoch oraz spowodowały zgół nieoczekiwany wypadek. Oto w bramie naprzeciwko (w domu, gdzie mieści się apteka Maciejewskiego) znajdowało się kilku robotników żydowskich, należących do samoobrony. Ci na odgłos strzałów dali się sprowokować i odpowiadali strzałami. W tej właśnie chwili owi

prowokatorzy z balkonu domu Makowskiego rzucili głośną petardę, która — wbrew doniesieniom, jakoby rozerwała mnóstwo osób — oprócz niezwykle głośnej eksplozji, nie miała żadnych następstw. Rozpoczęła się strzelanina. Idące na czele procesji wojsko zaczęło ostrzeliwać okna domu — a tłum rzucił się do bramy. W tej również chwili zjawili się, niewiadomo skąd, liczny zastęp sprowadzonych do robót ziemnych robotników z centralnych gubernii. Wśród strzałów raniony został prowadzący procesję duchowny, Paweł Zielinski, w bok, niezbyt ciężko. Zaznaczyć również należy, że podczas strzałów kilka kul trafiło w niesione ikony. Okoliczność tę — choć do tej pory nie wyświetlono, czyje kule utkwily i potrzaskały ikony — znajdujący się w orszaku czarnosotieńcy podnosili jako sprawę żydowską. Tak więc, gdy już na ul. Mikołajewskiej rozpoczął się na dobre pogrom i gdy mordowano mieszkańców domu Maciejewskiego, wyruszyła druga procesja, katolicka. Właśnie, gdy procesja ta miała wracać do kościoła, wśród ludności katolickiej usiłowano rozbudzić przekonanie, że „żydzi biją chrześcian“, chcąc tym sposobem Polaków wciągnąć do strasznej rzezi. Stało się jednak inaczej. Procesja z pieśnią na ustach skierowała się do kościoła, gdy jednak już miano wstąpić w mury kościelne, na czele stanęło wojsko, które dla ułatwienia pochodu zaczęło strzelać wzdłuż ulic, oraz do domów. Bezpośrednio później rozpoczęły się pogromy sklepów, które w całym Białymstoku z wyjątkiem kilku, uległy zupełnemu zniszczeniu i grabieży. Bandy uzbrojonych w żelazne laski i sztylety chuliganów, do których przyłączyły się miejscowe męty, nie poprzestały na sklepach.

Wdzierano się do prywatnych mieszkań. Wywlekano mężczyzn i mordowano je w ohydny sposób. Wieczorem i w nocy mimo ulewnego deszczu wciąż rozlegały się strzały karabinowe oraz słychać było odgłos wyłamywanych sklepów, z których kradziono wszystko, cokolwiek przedstawiało jakąś wartość. Oszałały tłum chciał koleją uciec. Tam jednak około godz. 8 wieczorem wdarł się tłum chuliganów (większość ich nosi kolejowe czapki), którzy obstawiwszy wszystkie wyjścia, po kolei mordowali zgromadzonych na placu przed dworcem. Wielu ich tam zginęło, niewiadomo, dość, że jak twierdzi służba kolejowa, sala cała kapiała się w krwi. Nie dość tego. Rozbestwiony tłum wdarł się do pociągu. Wywleczono stamtąd pasażerów, których na stacji zamordowano. Tak w ogólnych zarysach minął pierwszy dzień pogromu. Wielu zostało zamordowanych w tym dniu, niewiadomo.

\* \* \*

Drugi dzień pogromu był niemniej straszny. Czarne seciny hulały na dobre bez przerwy, kapiąc się w potokach krwi ludzkiej. Ulice i domy Białegostoku zawalone setkami okropnie pokaleczonych trupów. Miasto przedstawia obraz zniszczenia, trudny do opisanie. Ile strat ponieśli mieszkańcy żydowscy Białegostoku, łatwo się domysleć. Kto mógł — uciekł w miejsce bezpieczne. Ale gdzie dziś jest istotnie bezpiecznie — pytają wszyscy w pol ch. Czyż bowiem skończy się to wszystko na Białymstoku?

## „Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.  
Napisał Bronisław Mazowiecki.

11 (Ciąg dalszy).

— W białiznie była samej?

— Gdzieżby zaś, ba! mniejby było wstydu...

Ale właśnie z przeproszeniem jasnego pana, to całkiem naga... aże było dokumentnie widać pręgi po sznurze przez ciało, furt po plecach, po bokach, iż ~~za~~ się robiło nie uratować kobiety przed waryatem... To i z przeproszeniem łaski pana dzie-dzica, dziwować się nie można i nawet rzec ośmielić się, co jasna pani nasza tylko z rozsądnością postąpiła przezornie, jako że zaraz wyjechała po nocy, bo srodze niebezpiecznie byłoby tak samej na folwarku zostać z takim waryatem.

Wziął się Wosinek do dalszego czyszczenia powozu po długiej podróży, ponieważ pan Edward nie słuchając go do końca, oddalił się w zamyśleniu, wracając do łóżeczka chorego syna.

Nie powracała z folwarku siostra Felicya. Można było wnosić, iż skutkiem chłosty, jakiej stała się ofiarą, trudno jej będzie ruszyć zaraz w drogę. Na podstawie opowiadań łatwo się było domysleć, iż będzie musiała nawet parę dni w łóżku pozostać...

Ale panu Edwardowi przychodziło na myśl, że ta kobieta gotowa wstydzić się teraz, pokazać mu się na oczy, po tem wszystkim, co zaszło i o czem on musiał się już dowiedzieć od świadków nao-cznych nocnej afery...

Chodził on po pokojach zadumany, niezdędywany, co mu począć wypada.

Była chwila, kiedy mu się zdawało, iż powinien pojechać na folwark. Wszakże stało się nieszczęście. Zresztą niewiadomo, na czem się skończyło... A nuż waryat nie poprzestał na tem, albo ludzie na folwarku nie zdołali go powstrzymać i ksiądz Jan w napadzie furii zamordował kogo czy dom podpalili...

Wreszcie siostra Felicya potrzebuje pomocy...

Ta myśl prześladowała go najdłużej i nie dając mu spokoju, wypędzała z domu dziedzica, który niemal gotów był już kazać zaprzęgać, żeby co rychlej jechać na folwark...

Ale za każdym razem albo przywoływano go w takiej chwili do łóżka chorego syna, albo też zjawiała się przed nim żona, wracając z płaczem od gorączkującego Czesia.

Dziecku bowiem było coraz gorzej i nie obeszło się bez wizyty sprowadzonego z najbliższego miasta lekarza.

Matka rozpaczala, gdy doktor oświadczył rodzicom, że stan chorego chłopczyka jest bardzo groźny. Ojciec modlił się tylko, nie tracąc nadziei w Bogu. Sztuce lekarskiej nie bardzo dowierzał

on w ogólności. Ale zwłaszcza w ostatnich czasach, pod wpływem dysput z siostrą Felicyą, stracił zaufanie do medycyny ziemskiej, przekonany, że jedynym lekarzem Bóg jest — a nawet ponieważ grzechem byłoby sprzeciwiać Mu się w Jego wyrokach, na próżno próbując sztuką doktorską przydłuzać życie ludzkie wtedy, gdy z Niebios pada wskazówka wyraźna, iż kres mu naznaczono właśnie...

To też po cichu rad był dziedzic temu, gdy mu lekarz, gwałtem przez matkę do chorego dziecka sprowadzony, oświadczył po paru godzinach, że ma jeszcze kilka wizyt w okolicy tak pilnych i zwłoki nie cierpiących, iż bezwarunkowo musi odjeżdżać. Matkę zapewniał doktor, że gdyby tylko było tego potrzeba, można będzie po niego posłać konnego posłańca do miasta, ale się z tem bardzo nie narzucał, widząc, jak chłodno przyjmuje go dziedzic, nawet nie dowiadujący się wprost od niego, w jakim stanie zastał dziecko.

W strapieniu wielkiem nie zauważyła tego nawet pani Edwardowa i wszystko kładła na karb bigoteryi męża, który w tak ciężkiej godzinie modlitwie wyłącznie oddany, nie wie, co się w koło niego dzieje...

Czyż mogła ona teraz przypuszczać nawet, iż myśli Edwarda co chwila opuszczają łóżeczko Czesia i biegają hen, na folwark... do siostry Felicyi.

A tymczasem w duszy dziedzica rozgrywała się walka.

Ile razy spojrzał na żonę — ukazywała mu się postać teryjarki w habicie, przeszywającej go na wylot wzrokiem strasznym...

A kiedy znowu szerokimi kroki chodził tam i z powrotem po swoim pokoju samotny, uciekłszy od ludzi — i miał przed wzrokiem duszy bladą twarz siostry Felicyi z bielmem na jednym oku, a w myśli wiódł z nią rozmowy długie: — wtem na jawie stawała na progu jego własna żona z błyszczącymi w oczach łzami i przerywała mu słowem rozpacz, przywołując go do Czesia...

Już pan Edward prawie decydował się pojechać na folwark, kiedy znów po godzinie siedzenia u łóżeczka chorego syna przy żonie, nie zostawało z tej myśli ani śladu i zaczynało go opadowywać przeświadczenie, że siostra Felicya nie powróci do niego nigdy, że musiała uciec ze wstydem z folwarku sama do Królestwa, że po niej tylko, jak pamiątka, pozostanie waryat, którym będzie trzeba opiekować się w nieskończoność...

Bywały chwile, że się Edwardowi żal robiło na tę myśl, iż nie ujrzy nigdy Felicyi. Wtedy dusza jego rwała się do niej gwałtem... Oburzał się sam na siebie, jak mógł być uwierzyć w to wszystko, co mu o niej naopowiadano. To znów nastawała chwila rozważ. Tyłu ludzi widział, więc kłamstwo wykluczone. Rzeczy musiały tak się przedstawiać istotnie. Więc postać Felicyi malała w jego oczach. I znowu żał go ogarniał, jak mógł przedtem tak się jej poddać w zupełności, jak

mógł pozwolić tej kobiecie zagarnąć naraz całą władzę w tym domu — z pokrzywdzeniem żony.

A w takich chwilach wydawało mu się, że pokuta, jaką żonie naznaczył, zmasała jej winy i odmieniła jej naturę. Patrzył tedy na żonę już innemi oczyma i widział w niej tylko wielką boleść matki.

Ona zaś zapomniła już mężowi uraz wszelkich i przebaczała mu w myśli wszystko, cokolwiek mogła mu mieć do zarzucenia, skoro wreszcie znalazła się u jego boku i weszła na nowo w swoje prawa pani tego domu, żony i matki.

Zresztą poza chorem dzieckiem nic dla niej tam nie istniało.

A dziecku było coraz gorzej.

Lekarz przyjechał po raz wtóry, lecz również krótko zabawił, leki jakieś pozostawił, tylko już nie tał przed rodzicami, że stan chorego chłopczyka jest prawie beznadziejny.

— Jak się Bogu będzie podobało — rzekł mu surowo karcącym tonem dziedzic, wręczając zimno honorarium. I zaraz do żony wobec doktora jeszcze zwrócił się ze słowami wyrzutu, po co sprowadza medyków, skoro ci nic pomódz nie zdołni, Niebiosa jeno obrażają swoją mądrością.

Po odjeździe doktora zaczęła się agonia powolna. Teklunia przygotowała dziedziczkę, że nadchodzi katastrofa, a wówczas pani Edwardowa, wyczerpana ciągłym czuwaniem dniem i nocą przy chorym, upadła zemdlna. Wyniesiono ją z pokoju dziecinnego, rozebrano i położono do łóżka.

Stara klucznica, widząc, że już niema rady dla biednego Czesia, pocichutką odważyła się na zastosowanie jakiegoś ryzykownego środka z praktyk domowych. A nuż to pomoże... W każdym razie już zaszkodzić nie mogłoby nic dziecku raz na śmierć skazanemu. Przysięgła sobie, że bądź co bądź nie przyzna się nikomu nigdy do tego kroku. Wydawało się staruszcze, że skutki zaczynają być pomyślne. Dziecko leżało spokojnie, jakby spało snem zwykłym po silnem znużeniu. Stanowczo stan taki nie mógł uchodzić już za agonią...

Odeszła więc nieco uspokojona do sypialni dziecinki, zostawiwszy przy łóżku chorego jedynie drzemającego w krześle z bezsenności przydługiej Edwarda.

Był późny wieczór, kiedy dziedzic ocknął się. Przy nim na podłodze kłęzała, czołem o łóżko oparta siostra Felicya. Ręce nad śpiącym dzieckiem wyciągnięte trzymały obrazek Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

Pan Edward przecierał oczy, by się upewnić, że to nie sen.

— Czemu, bracie, rozpaczasz, skoro syn twój jest już uzdrowiony — wyrzekła głośno teryjarka.

Dziedzic nie mógł pojąć, skąd ona się tu wzięła i co wogóle zaszło. Kiedy bardziej oprzytomniał, wpatrzył się wyraźnie w twarz dziecka, dotknął ręką jego czoła, puls pomacał — i nabierał przekonania, że Felicya miała słusność. (C. d. n.)